

Ballada ze skraju lasu

Ocalmy od zapomnienia. O księdzu bandycie i jego rozbójnikach.



BALLADA ZE SKRAJU LASU

Kto dziś pamięta powieść "Popiół i diament", nie myląc przy tym jeszcze Andrzejewskiego z Wajdą? Dwa pokolenia toczyły nad nią spory ideologiczno - etyczne o prawach i granicach wolności człowieka w trybach maszyny historycznych przemian. Inteligenckie pokolenie "Kolumbów", a potem ich dzieci ociosywały mgłę Peerelu wyrubując zasady odwagi cywilnej w obronie praw do indywidualnego azylu i oporu w systemie społecznego przymusu. Wielu przez to zrezygnowało z życiowych karier, nieliczni zrobili je po latach - za przeszłość, lub bez oglądania się na nią. Tak czy owak społeczny termin "inteligencja" odszedł do lamusa wraz z całym indeksem rozterek. W historii najnowszej grzebie się dziś zinstytucjonalizowany historyk lub rozhisteryzowany polityk. Refleksja nachodzi chyba jedynie co zdolniejszych uczniów, bo dorosłym gotowe puenty sypią się z mediów sezonowo na sygnał wyborczych fanfar. A spory o postawy? To dziś temat jedynie na rozprawę w sądzie, gdyż na filozoficzną brak miejsca i chętnych.

Autorzy "Popiołu i diamentu" oraz "Kolumbów" dawno już poszli w niepamięć. Kombatanci walczą nie z czasem ale i z historycznym koniunkturalizmem, a późniejsze - opozycyjne ucichło wobec dochodzeń w IPN. W sprawie problemów postaw w najnowszych dziejach naszego kraju rozstrzygać ma ponoć ustawa lustracyjna i wymiar sprawiedliwości, a te, zgodnie z prawem, pozostają poza dyskusją. Gdzież więc pole do swobodnej wymiany międzypokoleniowej refleksji etycznej o postawach i odpowiedzialności? Przytoczę przykład indywidualnej postawy w obliczu Boga, ludzi i historii, bo rzecz dotyczy życiowej misji człowieka w sutannie.

Władysław Gurgacz urodził się 2 kwietnia 1914 roku w miejscowości Jabłonnica Polska należącej do parafii Kombornia w powiecie krośnieńskim jako syn Jana i Marii. Wychowywał się w skromnym, lecz pobożnym domu wraz

z dwiema przyrodnimi siostrami Anielą i Zofią. Ojciec zmarł na gruźlicę, gdy chłopiec miał jedenaście lat, za to matce przyszło przeżyć syna. Duszpasterstwo wraz z dorastaniem imponowało mu coraz mocniej, choć z nauką już w szkole bywały trudności. Po wielu staraniach dostał się Klasztoru Serca Jezusowego w Nowym Sączu, gdzie studiował pilnie, acz nie bez wysiłku. Nieco krnąbrny zakonnik, choć teologicznych nadziei w nim nie pokładano, przez przełożonych ceniony był za wielkie serce i upór w nauce. W marcu 1939 roku na Jasnej Górze powierzył swe życie w Akcie Ofiarowania Matce Boskiej wspólnie z zakonnikami, a w sierpniu 1942 w tym samym miejscu przyjął święcenia kapłańskie. Klasztor, po wojennej tułaczce i ucieczce przed Rosjanami zdążył już osiąść w Nowym Sączu. W rok później młody kleryk odnotowuje w pamiętniku pierwsze nawrócenie grzesznika. Potem wyrusza w drogę. W marcu 1944 roku dom siostr w Kamiennej, w którym przebywa, oddaje pod wezwanie św. Józefa i niebawem zostaje skierowany do kolegium w Warszawie przy Rakowieckiej, gdzie jest do powstania. Tuż przed jego wybuchem wyjeżdża jednak do Wiślicy na egzaminy z teologii, a na wieść o powstaniu żałuje, że ominęły go posługi w tak ważnym momencie. Wkrótce dowiaduje się o wymordowaniu wszystkich współbraci z kolegium przy Rakowieckiej. Jak się okazało, tego momentu nigdy już nie mógł zapomnieć. Choć nie od razu, miały zaważyć na dalszych losach skromnego jezuitę. Po wojnie nadal pełnił obowiązki u siostr, ale tym razem w Krynicy. Poprzez Sodalicję Mariańską szuka także pracy z młodzieżą, oraz pomaga wiele starszemu, choremu kapelanowi szpitala w Gorlicach. W szpitalu spowiadał żołnierzy rannych także w akcjach przeciwko oddziałom partyzanckim licznie ukrywającym się w górach, i samych partyzantów.

Tam ks. Władysław spotkał Jana Matejaka, akowca z Galicji, rannego w zasadzce zastawionej przez zdemoralizowanych, dawnych towarzyszy broni, dla nagrody z UB. Według partyzanckiego porzekadła: "chłopcy z lasu - nie anioły". Matejak, jako żołnierz lwowskiego Kedywu i leśny dowódca, przeżył wiele i strzelał do wielu. Wykonywał wyroki na Polakach, Niemcach i Ukraińcach, walczył z hitlerowską i stalinowską nagonką; zadawał śmierć i uciekał przed nią. Był człowiekiem zaszczytnym, zmęczonym i rozgorączkowanym. Chciał wreszcie odłożyć broń i odstawić wódkę - jedyne znane sposoby na strach i zapomnienie. W tamtym czasie Matejak nie był wyjątkowy. Mimo braku wiary w cokolwiek i różnicy wieku dał się Gurgaczowi namówić na spowiedź, która przemieniła się w długie rozmowy, a w końcu w przyjaźń. Opowiedział księdzu także o tym jak i dlaczego można zbandycieć zostając nadal w leśnych oddziałach. Gurgacz pomógł mu znaleźć "melinę" i kontaktował się z nim po wyjściu ze szpitala. Niestety, po pewnym czasie Matejak znów musiał uciekać do lasu, lecz znajomość przetrwała.

Od 1946 roku stawało się coraz bardziej jasne, że wymarzona wolność znów oddala się w nieznaną przyszłość, a tymczasowa władza rozzuchwała się w tropieniu przeciwników. Całe wsie w Nowosądeckiem doświadczyły akcji kolektywizacyjnych, a lęk przed wywózką na Sybir stawał się zmurą powszednią. Mnożyły się aresztowania i oddziały KBW, propaganda stawała się krzykliwa, a w domach cichły rozmowy. Prasa donosiła o nowych procesach ludzi znanych i nieznanymi pod najpaskudniejszymi zarzutami, księży i kościół komisarze coraz śmieiej odsądzały od czci i wiary. W dzień echo donosiło o okrucieństwach UB, w nocy coraz częściej niosło odgłos wystrzałów. Sąsiedzi stawali się nieufni, albo znikali. Zaufani za to opowiadali legendy o akcjach partyzanckich, a szczególnie o powrocie słynnego oddziału "Ognia". Zimą z 1946 na 47 na całym południu Polski sensację wzbudziło odbicie w Ptaszkowej pięćdziesięciu ludzi z rąk sądatów NKWD. Transport ponoć zmierzał do Rosji.



Księża także żyli pod presją. Choć w górach szacunek ludności do kościoła miał wielowiekową tradycję, to przecież rosnący terror robił swoje. Gurgacz w Krynicy wygłaszał kazania nazbyt śmiało dla uszu przedstawicieli miejscowej władzy i czynił tak mimo ich ostrzeżeń. Doczekał się więc nie tylko pogróżek, ale i prób zamachu na swoje życie. Najdalej posunął się komendant MO, który wieczorem zaczął się z pistoletem i chyba tylko ilość wypitej wcześniej wódki przeszkodziła mu trafić w niedużego jezuitę.

Kilkakrotnie proponowano mu "pójście do lasu", lecz przełożeni zakonni odmawiali zgody, wszak władze bez przerwy szukały pretekstów do ograniczania działalności religijnej i zamykania stowarzyszeń, klasztorów i zborów. Kapelan "zbrojnej reakcji" był z kategorii pretekstów koronnych. Po sfałszowanych wyborach stało się także jasne, że żadna działalność ruchu oporu nie może już liczyć na wsparcie z Zachodu, a stalinizm zyskuje bezkarność. Kościół walczył więc o zachowanie stanu posiadania, broniąc się permanentnie przed seriami małych i wielkich prowokacji. Gurgacz zdawał sobie sprawę z tego, jak trudna była to sytuacja. Biorąc pod uwagę fakt, że w 1947 r. wraz z akcją "Wisła" rozpoczęła się ostateczna rozprawa ze zbrojnym podziemiem, trzeba przyznać, że ówczesne odmowy zgody hierarchów na odejście Gurgacza i jemu podobnych młodych duchownych nie były dyktowane tylko asekuracją. On żył jednak wśród ludzi utrzymujących się z pracy i zbiorów na podgórskich słabych glebach w pokoleniowym lęku przed biedą i nieurodzajem, umęczonych skutkami okrutnej wojny oraz codzienną niepewnością jutra. Wiele ich trosk znał jeszcze z domu, reszty doświadczał z nimi. Oni zaś zwierali się w zamian z nadziei i zwątpień. Sam lubił mawiać, że pochodzi "od chłopca i baby".

Gdy akcja ujawniania podziemia i amnestia okazały się kolejnym oszustwem rozłożonym w czasie, wraz z liczbą aresztowań przybywało poszukujących leśnego azylu. Po rozbitych i rozformowanych oddziałach zaczęły więc pojawiać się nowe, złożone tak z dawnych, jak i zupełnie nowych uciekinierów. Powstawały samorzutnie z konieczności, w oparciu o lokalne, własne powiązania i warunki. Słabiej wyposażone i pozbawione centralnego dowodzenia, nastawione były bardziej na przetrwanie niż na zbrojną walkę z systemem. W szansę na nowe rozstrzygnięcia militarne wierzyli już tylko nieliczni. W 1948 roku mur berliński wciąż jeszcze nie dzielił świata, lecz powojenny przydział wolności został ustalony. Taka cena pokoju okazała się ceną życia dla wielu ludzi z dużych i małych ojczyzn na wschód od Łaby.

Ksiądz Władysław chodził do "leśnych" na msze i spowiedzi. Przebierał się po cywilnemu i wymykał się w tajemnicy, nie chcąc narażać nikogo z najbliższego otoczenia. Wsparciem i radą służył mu ksiądz Zygmunt z Żegiestowa, u którego bywał gdy tylko mógł. Ten potężnej budowy mężczyzna spędził, jako kapelan AK, wiele lat wojny w partyzantce, a potem w niewielkiej parafii utrzymywał się z pracy w polu. Nie chciał angażować się już w konspirację, być może czuł się spalony, za to cieszył się skromnym, chłopskim trybem życia. Kiedy Gurgacz na dobre odszedł do oddziału, aresztowano go za te rozmowy i próbowano zmusić do zeznań. Nie pozwolił się bić ani obrażać, był za duży na przeciętnego ubeka i nie zawahał się dać tego dowód. Zginął w czasie próby ucieczki.

Polska Podziemna Armia Niepodległościowa zawiązała się w okolicach Nowego Sącza w połowie 1947 r. jako organizacja konspiracyjna środowisk związanych z AK, { z natury systemu} skazanych na polityczną opozycję w wyborach do sejmu. Po przegranej trudno było samotnie bronić się przed urzędową spiralą terroru i samowolą prowincjonalnych komisarzy. Dlatego większość takich związków spełniała głównie funkcje pomocowo - informacyjne. Tu też nie planowano tworzenia leśnego oddziału aż do czasu pierwszych wsyp i aresztowań. W połowie 1948 roku zagrożonych było już tylu, że leśny azyl stał się jedynym możliwym ratunkiem. Dowódcą organizacji został gajowy z Nawojowej Stanisław Pióro, doświadczony akowiec znający teren Beskidu Sądeckiego. Leśny próg legalnego życia przekroczyli także inni ostrzelani w bojach akowcy jak Jan Matejak, partyzant z Ukrainy, czy Stefan Balicki były oficer frontowy i zbuntowany komendant MO z Wałbrzycha. Początkowo nieliczni, kryli się po "melinach" i szałasach, lecz w niedługim czasie starzy kombataneci musieli stworzyć kadrę dla młodych, którzy uciekli wprost ze szkół, a partyzantkę znali z wojennej legendy. Uzbrojenie składało się głównie z pistoletów i karabinów rosyjskich oraz niemieckich, był nawet jeden erkaem, kilka angielskich i rosyjskich granatów. Broń była pewna, bo "przestrzelana", skrzynia medyczna kompletna od czasu zrzutu, ale o resztę trzeba było się postarać. Latem zdobyli namioty zabrane z obozu ZWM. jesienią, gdy oddział przekroczył liczbę dwudziestu ludzi, trzeba było pomyśleć o stałej kwaterze na zimę. Pobudowali więc drewniany dom przy Prewalu obok Krynicy, między Halą Łabowską a Pisaną. Złożono przysięgę, a z czasem ustalił się obozowy porządek dnia; od porannej kąpieli, przez zajęcia wojskowe po zajęcia z polskiego, matematyki, historii i geografii. Gdy zjawił się kapelan, doszła religia i podstawy łaciny. Kapelanem był "Sem" - w cywilu ksiądz Władysław Gurgacz. Latem łowili i polowali, zimą po żywność szli do wsi albo jak one przymierali z głodu.



W oddziale PPAN postanowili uszyć jednakowe mundury, a do tego potrzebne były pieniądze. Zorganizowali więc napad na jedną ze spółdzielni tuż po obowiązkowym skupie bydła. Mundury, pasy i kabury kupili w Krakowie, gdzie nie stanowiło żadnego problemu nawet znalezienie guzików z orłami w koronie. Porządne czeskie buty dotarły przemytem. W czasie napadu ranny został wprawdzie jeden nadgorliwy ormowiec, co natychmiast odbiło się echem, ale trudno byłoby liczyć na utrzymanie w całkowitej tajemnicy dalsze istnienie oddziału. Zresztą nie o to chodziło. O mundury osobiście starał się kapelan. Partyzanci zaakceptowali go szybko, choć początkowo dziwili się, jak takiej drobnej budowy i chłopięcej twarzy człowiek wytrzyma z nimi w lesie. Zaimponował im, że był za razem stanowczy i otwarty. Zabronił im kłać i pić wódkę, ale w rozmowach był szczery i nie unikał tych trudnych. Oddział podejmował często działania polityczne na rzecz mieszkańców osiedli najbardziej nękanym kolektywizacją. Obecność oddziału przynosiła ludności ulgę, a przykładowe karanie chłostą urzędników i aktywistów partyjnych nie skrywaną satysfakcją. Pewien sekretarz oberwał także za bicie własnej żony. Tak samo karano i donosicieli, zaś system był prosty: najpierw ostrzeżenie, potem baty. I nic więcej! Zasadą naczelną było unikanie wszystkiego, co nie jest niezbędne, jak rozlew krwi, czy rabunek dla zysku. Nad ich przestrzeganiem czuwali wspólnie Matejak i ks.Gurgacz. Kiedy tylko pozwalał czas, snuli rozważania żeby przetrwać zimę, bo jeśli wiosną przyjdzie wojna znów będą potrzebni. Urywali się sprawdzić co w domu, byle nie w dni wolne i święta, bo wtedy donosiciele obserwowali najpilniej i zakładano ubeckie kotły. Wciąż przemierzali górskie szlaki i często zmieniali miejsca postojów.



O ile przez dłuższy czas "na górze" mieli względny spokój, z "dołu" docierały coraz gorsze wieści. UB zabrało się za ich znajomych i rodziny. Tylko nielicznym udawało się wyrwać z opresji, nie udało się też akcja odbicia z więzienia Jana Matejaka z grupą członków organizacji aresztowanych przy dużej "wsypie". Sylwester 1948/49 był smutny i śnieżny, próby rodzinnych spotkań się nie udały - domy obstawiono dokładnie szpiclami, więc bez słowa ciągnęli ku górcom. Na Boczańskich Działach mieli "melinę" w stodole ze słomą u gospodarza, który wraz z rodziną i krowami mieszkał pod jej klepiskiem. Od gospodyni kupili kury i poprosili o ugotowanie potrawy, po czym wraz z gospodarzami zjedli kolację. Odchodząc z dołu usłyszeli dzwony kościoła z Bączej Kuniny, przyklęknięli na krótką modlitwę i ruszyli dalej. Zaopatrzenie w żywność przysparzało coraz więcej problemów.

Już 2 lutego w nocy wysłano na nich dużą obławę z użyciem wojska i milicji. Dzień wcześniej w Barnowcu zebrano do niej szesnaście samochodów z dwoma setkami ludzi. Jednak w porę rozesłane patrole przyniosły ostrzeżenie i leśni wycofali się na bezpieczną pozycję. Ubecy wzięli z sobą ze wsi dwóch młodych mężczyzn, którzy

zaopatrywali leśnych w mąkę i kazali im wskazać drogę do obozu. Nie dali się przekonać, że obaj naprawdę tej drogi nie znali, bo przekazywanie żywności odbywało się w bezpiecznych punktach kontaktowych. Po nieudanej obławie zemścili się na nich okrutnie. Nagich na mrozie zbili do nieprzytomności, a ich bezwładne ciała rzucili na stertę gnoju. Dopiero po dłuższym czasie ubecy zabrali ich z sobą w nieznanym kierunku. Oddział, po rozdzieleniu się, w nocy wyruszył w długi rajd po zaśnieżonych górach, brnąc w zaspach po pas. Jasne się stało, że UB na tej obławie na pewno nie poprzestanie. Mimo to starali się przetrwać. Ograniczyli zejścia w dół, poruszali się niewielkimi grupami i zaostrzyli patrolowanie terenu. Na dole trwały ustawiczne rewizje i przesłuchania, w aresztowaniach tracili wspierających ich ludzi. Wiosna zamiast nowych rozwiązań politycznych przyniosła tylko obławy i zagęszczenie placówek wojsk KBW. W kwietniu jeden z konfidentów UB dotarł niemal pod ich obóz, dlatego złapany musiał zginąć. Wciąż ocierali się o wpadki, więc postanowili się rozdzielić na trzy grupy i trzy rejony działań od Nawojowej i Piwnicznej przez Nowy Sącz po powiat brzozowski. Na początku czerwca dwóch partyzantów dzięki konfidentowi wpadło w zasadzkę KBW pod Jaworzyną. W strzelaninie zginął jeden z nich.

Dalsze losy oddziału są typowe. Gdyby w tym miejscu przytoczyć balladę z filmu "Prawo i pięść", może dodałaby temu opisowi jakiś rys nadziei, którymi wtedy kierowali się ci ludzie. Nie ma bowiem w naszej kulturze punktów odniesienia na historyczną, rodzimą skalę problemu. Był jeszcze western "Wilcze echa", mający za zadanie zbagatelizować ją w oczach pokoleń i kłamliwy serial telewizyjny "Niebezpieczne ścieżki", do którego scenariusz napisał J Stróżyński, jeden z głównych prowokatorów likwidacji największej wówczas organizacji WiN. Ten obraz bandy straceńców pokutował przez długie lata, aż doczekał się przedawnienia w sądach i świadomości. Ale nie dotarło do nas jak i dlaczego tamte pokolenia miały się takich wyborów, a współczesna polityczna zonglerka historią wcale tego nie ułatwia.

Dowódcy zaczęli rozglądać się za możliwością ewakuacji ludzi za granicę kraju, lecz na to i na wszystko inne potrzebne były pieniądze. Postanowiono dokonać napadu na bank, a wybór padł na grupę byłego milicjanta S. Balickiego ps. "Bylina", do której należał także kapelan "Sem". Akcję wyznaczono na dzień 2 lipca, w momencie przekazywania pieniędzy przez woźnych. Niestety, napad nie udał się, a cała grupa została aresztowana. Ksiądz Gurgacz czekał w umówionym lokalu na powrót kolegów. Gdy dowiedział się o niepowodzeniu i aresztowaniach, postanowił pozostać na miejscu, aż do przyjścia funkcjonariuszy UB.

W krakowskim więzieniu WUBP na Montelupich spotkał nie tylko ich, lecz także wcześniej aresztowanego przyjaciela Jana Matejaka i innych członków organizacji. Proces przygotowywano bardzo intensywnie, a przesłuchiwanie często trafiało do karcerów. Nie mogli wiedzieć, że 12 lipca zabito brutalnie trzech następnych kolegów z oddziału, a los pozostałych jest praktycznie przesądzony. Ksiądz, posądzony o "przewodzenie bandytom" nie zaprzeczał, za to z uporem odmawiał uznania władzy i wymiaru sprawiedliwości. Irytował tym przesłuchujących, ale ci wzięli rewanż w hucznym procesie. Prasa odsądzała Gurgacza od wszelkiego sumienia, obrzucając go różnymi inwektywami. 13 sierpnia nastąpiło oficjalne ogłoszenie wyroku w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Krakowie. Otrzymał wraz z kolegami wyrok śmierci przed okiem kamer i licznych dziennikarzy. Dla efektowniejszego obrazka w Polskiej Kronice Filmowej podłożono mu biblię, stulę i stary pistolet jako atrybuty "księdza bandyty", który z bronią w ręku napadał na banki. Na sali byli także przedstawiciele hierarchii zakonu, wobec których w ostatnim słowie zawarł ponoć spowiedź, a na pewno powtórzył odrzucenie wyroku. Był opanowany i w celi, i w sądzie, nawet podczas aranżowanych serii portretów.



Tego samego dnia reszta oddziału ruszyła w zaplanowaną podróż przez Słowację. Nie przewidzieli, że organizatorem przerzutu grupy był agent UBP. W dzień później oddział słowackiej bezpieki niemal rozstrzelał ich autobus. Zginęło czterech z dziesięciu członków wyprawy, reszta otrzymała długoletnie wyroki. Już w miesiąc później, nadszedł czas wykonania wyroku na Gurgaczu, Balickim i Szajnie. Ksiądz także odmówił złożenia wniosku o ulaskawienie, a egzekucji dokonano strzałem w potylicę. Miał 35 lat. W związku ze współpracą z organizacją PPAU aresztowano 95 osób, z czego 11 uwięziono bez rozprawy

Wojny nigdy nie wygasają wraz z ogłoszeniem ich zakończenia. Ta historia skończyła się, jak wiele innych w polskim kalendarium. Jezuita Władysław Gurgacz na pewno inaczej mógł pokierować swoim losem. Na pewno został ostrzeżony przed konsekwencjami swojego wyboru, bo przed odejściem swoje śluby zakonne oddał w ręce władz kościoła w formie pisemnej rezygnacji i nie wiedział czy nadal ma status jezuita. Uczynił tak dla bezpieczeństwa stowarzyszenia. Pozostały mu jednak obowiązki księdza i z nimi właśnie poszedł do lasu. Historycy spierają się czasem, czy była to nasza wojna domowa. Miała tysiące bohaterów, z których tylko nielicznym udało się uciec i za wieloma granicami jakoś ułożyć ocalone życie. Pozostali konsekwencje nieśli do końca epoki, zapomnienie traktując jak jedyną formę amnestii. A potem dla nich na wszystko było już za późno - także na sprawiedliwy osąd. O takich jak Gurgacz najlepiej było milczeć; piętno księdza bandyty jeszcze długo odstraszało nie tylko ludzi świeckich. Jeszcze kilka lat temu, odmówiono mi w jednym z kościołów w Łodzi dedykowania mszy w intencji jego imienia mimo oficjalnej rehabilitacji wszystkich skazanych.

Czy ksiądz miał prawo przypasać pistolet w obronie własnej? Według świadków czynił to rzadko i nigdy nie nauczył się go używać, ale miał i temu nigdy nie zaprzeczył. Nie przeciwstawił się również akjom dla zdobycia pieniędzy, choć jego osobisty w nich udział był bardzo wątpliwy. Czy jako duchowny przekroczył wraz z progiem legalizmu granice etyki duszpasterstwa i gdzie takowe kończyły się wtedy? On dokonał wyboru państwo uznał za nielegalne, a konsekwencje przyjął z godnością. Okazało się, że także jego zwrot ślubów zakonnych nie został przyjęty.

Dla górala, jak i dla partyzanta, pojęcie domu nie ograniczało się nigdy do zamieszkiwania chałupy. Dom to także pole i otoczenie, w którym się wychował, ogarniając wzrokiem i pamięcią. Jest więc naturalnie szersze niż pojęcie przeciętnego mieszczucha, a pójście do lasu nie oznacza opuszczenia domu. O to chodzi w zrozumieniu specyfiki małych ojczyzn i różnicy wartości choćby słowa "małych". Jakie wobec tego przyjąć kryteria, żeby określić wspólnie tę "dużą"? Wojenne losy wielu Polaków nauczyły, że życie stracić można za samo miejsce urodzenia. Tuż po wojnie miliony ocalałych znów straciły prawo do tych miejsc zaoczny wyrok dziejów. Czy można dziwić się tym, którzy w obawie przed tą stratą podjęli obronę konieczną? Mieszkańcy regionu przyznali im i rację i pomnik.

Wydaje się, że znamy już dostatecznie najnowszą, prawdziwą historię swojego kraju. Dlaczego więc coraz częściej odczuwamy tożsamościowe lęki? Może oprawiliśmy ją zbyt szybko w polityczne puenty, podświadomie odstawiając w kącie niby puszkę Pandory, a nie jak źródło wielorakiej społecznej wiedzy? Jedno jest pewne - wciąż nie umiemy posługiwać się nawet najmniejszymi, osobistymi jej przykładami. Na usprawiedliwienie mamy tylko to, że polska kultura nie miała czasu ich podejmować.

Druga wojna światowa skompromitowała cywilizację ludzką. Za to obrona fałszywych kryteriów pokoju, przez dziesiątki lat kompromitowała politykę jako instrument społecznie etyczny, konserwując przy tym zarzewie konfliktów. Ludzkość żyła przez dziesiątki lat w cieniu nowej wojny. niesprawiedliwy podział kosztów utrzymania tego stanu rzeczy zaburzył społeczne systemy wartości i rozwinął cywilizacyjną psychozę konfrontacji. Przy gaszeniu wojennego pożaru potopem zalano naszą połowę kontynentu i żaden skraj najbliższego lasu nie mógł tu nikomu dać schronienia. Tonące społeczności, z braku środków ratunkowych, jeszcze nie raz chwyciły się brzytwy, bo pomocy z drugiej części ładu nie było. Tam była ludzkość, ale zajęta budową nowej, lepszej cywilizacji.

W Polsce państwowa wojna władzy ze społeczeństwem stała się systemem. Trwała dziesiątki lat, zmieniając tylko formy i środki. Toczono ją w imię władzy przeciwko wolności osobistej i odwadze cywilnej, aby zredukować człowieka do funkcji pariasa bez praw do obrony koniecznej. Czy problem zniknął po zmianie ustroju, gdy zaliczono nas do lepszej grupy systemów państwowych? Nikt już nie przeliczył także społecznych kosztów państwowotwórczych eksperymentów wyciętych na skórze ostatnich pokoleń, bo nowa rzeczywistość znów każe walczyć o przetrwanie. Czy tylko do tego potrzebna nam osobista odwaga? Dziś mamy państwo, w którym rzadkie dyskusje o osobistej wolności ogranicza się do prawa posiadania i używania broni oraz wartości majątku. **Niestety, obywatelskiej wolności jednostki wciąż nie przypisano praw do niepodległości indywidualnej, jak obronie koniecznej żadnych bezpiecznych granic.**

Czy można było wtedy pogodzić się z przegraną? Czy reżim chciał się pogodzić z tymi, którzy walczyli o zwycięstwo? Nie, Historia poszła na półki, Świadkowie milczą, a fakty poszły w las polityki. Oby nie musiały tam czekać do następnej dziejowej jest - czy się nam podoba czy nie, powinna być nauką dla pokoleń.

Fotografie z książki "Postawcie mi krzyż brzoźowy" Danuty Suchorowskiej-Śliwińskiej.

Autor: awers

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl